

**MORFINA**

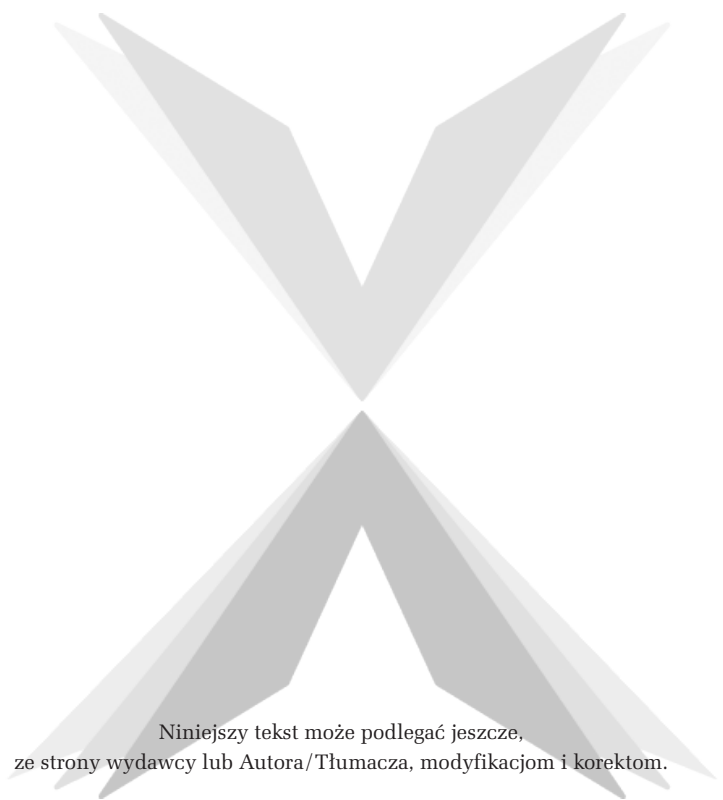




Szczepan Twardoch

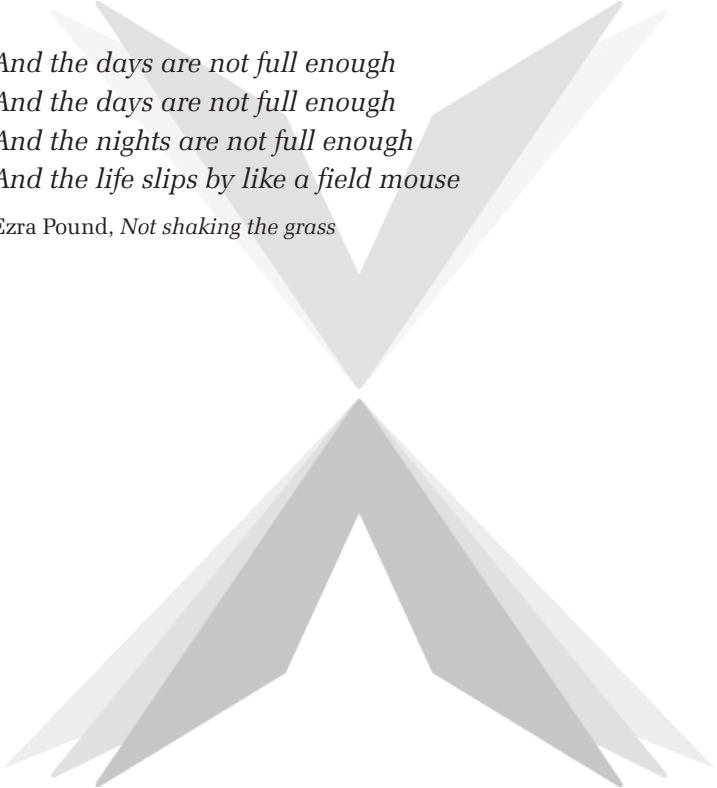
# MORFINA

WYDAWNICTWO LITERACKIE



Niniejszy tekst może podlegać jeszcze,  
ze strony wydawcy lub Autora/Tłumacza, modyfikacjom i korektom.

Przesłanie egzemplarza nie stanowi przeniesienia lub udzielenia jakichkolwiek praw do utworu. Jakiegokolwiek publikowanie lub inne wykorzystywanie, udostępnienie osobom trzecim lub rozporządzanie niniejszym utworem w całości lub we fragmentach, w oryginale jak i w dowolnym tłumaczeniu, w ramach adaptacji lub poprzez wykonanie, odczytanie lub nadanie wymaga wyraźnej zgody Wydawnictwa Literackiego, udzielonej na piśmie pod rygorem nieważności.



*And the days are not full enough  
And the days are not full enough  
And the nights are not full enough  
And the life slips by like a field mouse  
Ezra Pound, *Not shaking the grass**





**CZĘŚĆ I**







## ROZDZIAŁ I

Łeb. Smród.

Łeb pęka. Język jak wyschły, martwy ślimak, chropowaty. Podniebienie pod skorupą zaschniętej flegmy. Łeb pęka. Pustynia. Smród własnych wyziewów.

A więc obudził się? Obudził się? Nie obudził się. Jeszcze spać? Sen, zniknie cierpienie we śnie? Nie zniknie.

A we śnie... Był to sen?

A więc budzi się. Budzę się. Obudziłem się. Oczy pieką, grudki ropy wygrzebuje, wygrzebuję palcem, rzęsy ropą sklejone. Otwieram. Gdzie jestem? Nie u siebie.

Trzeba wstać, wstać, trzeba na sedes, uwolnić kiszki. Nie chce się wstawać, nie chce. Poleżałby, poleżałbym. Gdzie? Nie u siebie. Trzeba wstać.

Wstaje. Wstałem. Zawrót głowy. Siada na łóżku.

Siedzi, siedzę, zawrót głowy, wymiotować, więc nagłym rzutem przed siebie, jak szermierz, jak pływak, przed siebie, przed siebie, z mieszkania nie mojego na korytarz, do wychodka.

Opróżnia się, wypróżniam się, buklak napięty staje się buklakiem oklapłym. Łeb pęka. Jest woda? Odkręcam kurek czteroramienny, z plakietką niebieską jak Virtuti Militari, nie ma wody, ciągle nie ma. Jest w wiadrze, Aniela przyniosła, albo ktoś inny przyniósł.

Splukuję sedes wodą z wiadra. Potem umywalka, korek, struga w porcelanową konchę umywalki, woda, pijesz? Piję. Pijemy. Pijemy.

Wczoraj: Zarząd Miejski ogłasza listę dwudziestu dwóch punktów bezpłatnego pobierania wody. Pobieraną z tych punktów wodę należy przed użyciem przegotować. Mam to w dupie. Twarz chlustam, polewam łeb spuchnięty resztą wody, czaszka skrzypi, słyszę jak mi czaszka skrzypi, od środka opuchnięty mózg napiera na kości, od zewnątrz mrozi je lodowaty strumień, podnosi głowę. Widzi mnie w brudnym lustrze.

To ja. Konstanty Willemann.

Oraz skutki picia wódki. Konkretnie wina, ostatnie cztery butelki, samotnie, przy kuchennym stole, zagryzając chlebem spieczonym przez Anielę na blasze, natartym czosnkiem i posolonym. Ostatnie cztery butelki. Nie ma już wina. Więcej nie będzie wina. Może już nigdy nie będzie wina? Głupstwo, wino zawsze będzie. Ale nie dla mnie.

Pięćdziesiąty trzeci dzień trzeźwości typu em. Czternasty dzień Niemców w Warszawie. Picie samotne, od połowy drugiej butelki śpiewanie pieśni rozpustnych, przy trzeciej pieśni patriotyczne, tak jest, przy czwartej płkanie, płkanie, płkanie. Przez drzwi kuchenne rozchylone zagląda zaspana twarz Anieli, panu czego trzeba? Precz, lampucero, precz, stara pudernico, samotności mi trzeba, w mojej tragedii i w tragedii mojego miasta pożądam samotności i piątej butelki burgunda pożądam, i niczego dostać nie mogę!

A dzisiaj Anieli nie potrzeba przepraszać, Aniela nawykła. Pan, kiedy się napije, to urąga światu i ludziom. Pan już jest taki. Panowie już tacy są.

Przypominam sobie te wrzaski, kiedy patrzę w lustro. Ja sobie przypominam: Anielę, stara szwaczka, siostra służącej mojego teścia. Ukrywam się w jej pokoiku. Ona śpi w kuchni. Gospodarzy, u których najmuje pokój, nie ma. Uciekli. Ja nie uciekłem. A teraz patrzę w lustro.

To ja. Włos zmierzwiony, morda blada, zarost dwudniowy.  
Dopiero teraz wszystko przychodzi, a raczej wraca: miasto rozwalone, już nie moje, Hela i Jureczek w naszym mieszkaniu w wedlowskiej kamienicy na Madalińskiego, mobilizacja, oblężenie, kapitulacja, Starzyński bredzi o okrywaniu hańbą armii niemieckiej, co walczy z biedną ludnością Pragi, order, żołd zaległy, wariactwo Ksyka i jego wąs czarny, po kapitulacji przejście z naszych stanowisk pod Parkiem Sieleckim i na Parkowej do koszar Szwoleżerów, gdzie mamy czekać na wyjście do niewoli, a ja nie idę do niewoli, brednie o tym, że trzeba dalej walczyć, pułkownik mnie puszcza, idź, idź, święta racja, trzeba dalej walczyć, pistolet mój zakopujemy w ogrodzie u nazaretanek na Czerniakowskiej, razem z bronią paru kolegów, mundur potem palimy w piecu, nawet buty, chociaż butów żal, śmierdzi obłądnie, nie idę do niewoli, nie ma mowy. A wcześniej, wraz z mobilizacją — obietnica. Trzeźwość. Po kapitulacji ograniczona do trzeźwości typu em, stąd wczoraj ostatnie butelki wina, gdzie teraz dostać wino? Nigdzie. Ukrywanie się, kabaret po prostu!

Dym nad płonąca Cytadela, taki wzniosły i piękny. Braterskie pozdrowienie przesyłamy żołnierzom walczącym na Helu, mówi drżącym głosem radiowy spiker, niech żyje Polska, jeszcze Polska nie zginęła. A jednak.

Poddaję się.

Piję jeszcze wody, prosto z wiadra, unoszę je w ramionach silnych, aż brzuch znowu jak bukłak. Lustro. To ja, to ja, to ja.

Nienawidzę tego miejsca. Nienawidzę.

— Aniela zrobi mi kawy! — krzyczę, krzyk przebija mi skronie gwoździami grubymi jak palce Piłata.

— Kawy ni ma! — odkrzykuje cierpliwie Aniela z mieszkania, wczoraj tak samo krzyczała.

Przecież wiem, że nie ma, po co krzyczę?

— No to niechże herbaty mi zrobi.

— Ni ma herbaty. Pod kuchnią dopiero rozpalam.

Po co, po co, po co?

— A do jedzenia co jest?

— Ni ma. Pan pójdzie, kupić trzeba. Chleb dają w Mirowskiej, za trzydzieści groszy kilo, po ćwierci dają.

Mruczy Aniela, mruczy z kuchni, z małej kuchni w tym małym mieszkaniu, gdzie jeszcze pokoik podnajmują, pokoik, w którym śmierdzi starą kobietą, śmierdzi zapachem gotowanej kapusty i cebuli, chociaż pewnie od miesiąca najmniej żadnej cebuli ani kapusty nie gotowała, a śmierdzi i tak, a może tylko powinno śmierdzieć kapustą i cebulą gotowaną, albo flakami powinno śmierdzieć i ja sobie sam te zapachy indukuję, wymyślam je sobie, żeby się podnieść na duchu?

Wyjść na miasto, trzeba wyjść na miasto. Wyjść z tego mieszkania i nie wrócić. Za oknem — deszcz, ziąb. Z powrotem do łazienki. Golić się czy się nie golić? Golić, w zimnej wodzie? Jednak golić. Włosy ułożyć. Ale bez brylantyny, chociaż brylantyna jest, w pudełku na półce, ale teraz nie czas na brylantynę, wojenny czas, więc tylko grzebień, byle nie chodzić rozczochranym. Potem aspiryna, dwie. Też się kończy. Potem podkoszulek, kalesony, skarpety. Potem ubieram się w grubą wełnę szkocką, pod marynarkę kładę ciepły pullover. Kapelusz. Szalik. Palta jeszcze nie biorę, jeszcze nie czas na palto. To nie wystarczy, nie wystarczy. Tweed w ciepłe utrzyma, ale nie wystarczy. Ubranie, żeby pokazać, że nie byle kto, a jednak byle kto. Żeby chroniło przed rozpadaniem się świata, żeby przypominało, że ja — to nie byle kto.

Ja to ja. Jestem Konstanty Willemann, lubię samochody i eleganckie stroje, nie lubię koni, mundurów i nieudaczników. Ja — to nie byle kto. A jednak.

Ale to na nic, na nic. Patrzą na siebie w lustrze, ja, to ja, a świata już nie ma i w tym świecie ja to już nie ja, a jeśli nawet ja, to na pewno byle kto. Nawet w ubraniu drogim, w bucikach drogich. Byle kto. Właśnie.

Wychodzę. Drzwi za mną zamykają się pogardliwie. Drwią ze mnie te drzwi staruchowate, drzwi Anielowe, drzwi nie moje, acz w gesti mojej. Wychodzę. Nie wrócę. Nie wiem jeszcze, gdzie pójdę, ale tu nie wrócę.

Wyszedłem, miasto nie moje. Szyb w oknach nie było, tam gdzie były, to papierem na krzyż polepione, okienne krzyże świętego Andrzeja, na tych krzyżach życie nasze ukrzyżowane, ale częściej ślepa dykta i czarne oczodoły po wylupionych framugach i szybach wyszarpanych. Sklepy pozamykane, deskami pozabijane albo rozbite, zamiast sklepów na ulicach handel, sprzedawali ludzie wszystko: buty angielskie do konnej jazdy, grzebienie, lampy i jedzenie po cenach, za które należałoby rozstrzelać. I jacy ludzie: przekupy podwarszawskie Bóg wie skąd towar biorące, eleganckie damy, apasze, żuliki, wyrostki. Społeczeństwo rozpuszczone, nie ma Żyda, nie ma Greka, nie ma damy, nie ma kurwy, nie ma profesora ni złodzieja. Towar ze sklepów rozwalonych, z rabunku albo z szabru zwykłego, albo własne futra, stary świat się upłynął wyłożony na ulicy na gazetach i kartonach, upłynął się porządek rzeczy jak rozpuszczony kryształ, futra pożądane zimnym paździenikiem z właściwych sobie szaf na ulicę, z ulicy w ręce niewłaściwe, baba próbowała sprzedać siodło kawalerskie, z czyjego konia zdarte, spod jakiej dupy wyszarpane i na co komu ułańska kulbaka? Chyba sobie na plecy przypiąć, Niemców po ulicach wozić.

Jeszcze rozstrzelają.

— Rozstrzelać was za to mogą, kobieto — powiedziałem.

— Jak pan nie kupujesz, to idź pan, panie...!

Więc poszedłem. Jak to dobrze, że mam pieniądze, a mam, bo jestem mądry. Więc najsampierw idę sobie, mądry taki, idę sobie Krochmalną, Żydki się uwijają, sprzedać mi chcą wszystko wyłącznie za dulary i złoto, spieszą się i boją cholernie, a ja idę, na Żydków nie patrzę, idę do Hali Mirowskiej, kupić chleba, słoniny, jajek. Połowa kramów obsadzona. Ceny szalone, kilo chleba za złoty siedemdziesiąt. Chleba z magistrato-  
wej dystrybucji po trzydzieści groszy już nie ma, już wszystko poszło. Trzeba po rynkowej, gorzej niż u Żyda. Biorę kilo. Prócz chleba kupuję kubek zsiadłego mleka, kubek plugawy na sznurku, każdemu, kto chce, przekupa z bańki mleka należy za dziesięć groszy, płacę, do diabła tam z plugawych warg odciskami na kubkowej blasze, piję, to pomoże.

Nie pomogło. Baba ma czekoladę, sprzed wojny, tabliczka dwanaście złotych. Dwanaście! Wziąłem dla Jureczka za trzy złote, baba brudnymi łapami odłamuje byle jak, w gazetę zawija.

Z jedzeniem w teczce, bo przecież nie będę siaty w rękach nosił jak służąca jakaś, idę dalej. Jak się pieniądze ma, to wszystko jest dla ludzi, wszystko można przeżyć.

A ja miałem. Jeszcze w sierpniu, tydzień przed mobilizacją, konto w PKO się wyczyściło, wiele tam nie miałem, ale jednak było coś, więc się wyczyściło, takim się jest zapobiegliwym, takim mądrym, kupiło się złoto po cenach paskarskich, ale przedwojennych, kupiło się dolary i teraz się ma, i Hela też ma za co Jureczka nakarmić, o czym myślałem z dumą, mijając ogonek pod PKO, specjalnie drogi nadłożyłem, żeby sobie na ten ogonek aż do Filharmonii popatrzeć, po pięćdziesiąt złotych jednorazowo wydają, ludzie patrzą na siebie oczami wilczymi spod rond kapeluszy i w tych spojrzeniach: sanacja, złodzieje, pułkownicy zakichane, gdzie są nasze, moje pieniądze!

A ja mam. Bo ja jestem mądry, a ludzie idioci.

Bo jesteś mądry, a ludzie idioci.

Drogi nadłożyłem też dlatego, że ostatni raz byłem w PKO razem z pułkownikiem i majorem Tomaszewskim, zastępcą i rotmistrzem Chochołem ze szwadronu cekaemów, w dzień kapitulacji, ale przed ogłoszeniem jeszcze, Tomaszewski dostał Virtuti, Chochoł też Virtuti, a ja Walecznych dostałem za nic, więc byliśmy w PKO, w podziemiach, ja taktownie z tyłu, nie odzywam się, bo tam generały: Rómmel, Kutrzeba, Tokarzewski, Czuma stoją nad mapami, palą papierosy, pokonani, skapitulowani, przegrani, Polskę przesrali, ale stoją nad mapami, pozapinani pod same szyje, srebrne kołnierzyki, generalskie pistoleciki w kaburach maleńkich przy dupie, damki szóstki czy siódemki akurat takie, żeby sobie w łeb palnąć, ale jakoś sobie żaden nie palnął, chociaż oddali wszystko, co było do oddania, nie tylko guzik od płaszcza.

Nasz pułkownik gadał z szefem sztabu Rómmela, tak, kapitulacja zdecydowana, a ja miałem ochotę wielką wyjąć pistolet i te generalskie łby poodstrzeliwać, jeden po drugim.

A dzisiaj ani śladu generałów, tylko ludzie stoją w ogonku, żeby swoje pięćdziesiąt złotych dostać.

Z jedzeniem w teczce idę do Europejskiego, do Loursa, posłuchać, co mówią. Co gadają, co bełkoczą, kłapią szczękami jak dziady prozalne puszką o trotuar. Ale co tam, idę, do Loursa idę, aby jeszcze to trochę odwlec, to, co nastąpi potem. W końcu, czterdziesty dziewiąty dzień trzeźwości typu em.

Wchodzę. W środku ścisk niemożliwy, większość — oficerowie. Część udaje, że oni to wcale nie, ale patrzy im z mordy zupakiem z daleka, z mordy, nie z mord, bo oni wszyscy mają jedną mordę zupacką, pułkownikowską, majorowską, kapitańską, panowie szlachta, tak się im ładnie mieściła ta wygolona mordka nad wężykami na wysokich kołnierzach, zadaszona lakierowanym okapem czapki, a teraz smutno tkwi na

chudych albo tłustych karkach, nad brudnymi kołnierzykami cywilnych koszul, nad szarymi albo brązowymi ubraniami, które Bóg wie skąd pobrali. Długi Faliński w ubraniu zdjętym chyba z karła, rękawy marynarki w pół drogi między łokciem a nadgarstkiem z białym śladem po zegarku. Tłuscioch w rogu rozpycha tłustym biustem poły swojej marynarki, jakby była pękniętą kiszka smażonej kaszanki, ledwie dopięta na brzuchu koszula w równych elipsach między guzikami odsłania ciało jak włochate ciasto.

Inni — w mundurach, półmundurach raczej, cywilne marynarki i bryczesy polowe, płaszcze wojskowe, ale uwieńczone kapelusami. Ci nie muszą się ukrywać, to modlińscy. Zresztą przed kim się ukrywać, tu Niemców nie ma, Niemcy po kawiarniach nie chodzą.

Wszyscy oczywiście chcą być ze mną za pan brat. Nie dlatego, żeby za pan brat chcieli być akurat właśnie ze mną. Tutaj wszyscy za pan brat, a oni sądzą, że ja się wliczam w to ich „wszyscy”.

I gadają: że Francja. Że Sikorski rząd, a Rydz internowany, że sanacja to, że sanacja tamto. Idiota kliniczny przy stoliku pod oknem peroruje, iż Polska przyjęć musi formę duchową, stać się państwem ducha i z ducha się ponownie narodzić, jako kraj bez nierówności i bez prześladowań, jako kraj obywateli światłych, połączonych umiłowaniem dobra, piękna, postępu, Boga, sprawiedliwości i przyjaźni.

I anyżkowych cukierków, koniecznie. Tak sobie myślę właśnie, że jeszcze muszą być anyżkowe cukierki, likier różany i kokaina darmo. Wybieram stolik na drugim końcu sali, bobym go w pysk musiał strzelić, na drugim końcu zresztą siedzi nad flaszką wódki Rudzik z Malinowskim i do nich się przysiadam.

A oni swoje. Rejestrować się czy nie? Ogłoszenie Cochenhausena przedwczorajsze czytałeś? Czytałem. Wczoraj nazwiska



na litery od a do ka. Jutro — od el do zet. Rudzik mówi, że nie idzie, Malinowski się waha, ale raczej też nie. Jak się zarejestruje człowiek, to nie ma siły, skierują do obozu. A może nie skierują? A przecież: Francja, Francja, Francja, bić Niemców.

— Nie nabiliście się już przez te trzy tygodnie? — pytam. — Małocście dostali?

A oni swoje. Sanacja i sanacja, ukarać i rozliczyć.

— Kogo chcecie karać? — pytam. — Marszałka? Na grób mu naszczać?

— Nie da się, warty stoją — odpowiada poważnie Rudzik.

A oni nie słuchają. Słuchajże, Kostek, to proste przecie, do Krakowa tak a tak, z Krakowa na Budapeszt tak a tak i smak, a to przez Tatry na nartach tak a tak, albo inaczej znowu tak, a w Budapeszcie nawet jak internują, tam podobno bardzo pomagają z ministerstwa honwedów, minister Bartha pomaga, więc jak internują, to zaraz puszcza, a jak puszcza, to do Konstancy tak albo siak, stamtąd na jakiś statek i na Morze Śródziemne i do Marsylii, a tam już wojsko nowe, sojusznik da nam czołgi i wszystko nam da, będziemy Niemca bić, bolszewika będziemy bić, wszystkich będziemy bić, za wolność waszą, hurra, na Berlin, tacy jesteśmy! Wiwat! Wiwat!

— Jakby miał nam dać, to nie było mu łatwiej w sierpniu dać? — pytam.

A oni patrzą na mnie oczyma złymi spod brwi nastroszonych i zastanawiam się, czy już chcą rzucić to słowo, czy jeszcze nie, więc patrzą, a ja widzę ich oczy jak okna paskami papieru na krzyż zaklejone. Rzucić chcą, do rzucania prędcy są, ale nie rzucają, bo się boją, bo życie zbyt już trudne, żeby sobie jeszcze sądy koleżeńskie do tych trudności dodawać. Więc nie.

Rudzik wyciąga gazetę.

— Co to jest? — pytam.

Rudzik wzrusza ramionami. No bo co ma być? Nowy „Kurjer Warszawski”. „Kurjera Warszawskiego” już nie ma, nie ma go, bo może był stary, a tu proszę, pierwszy numer. Na pierwszej stronie: „Ważne wyjaśnienia dotyczące wypadków poprzedzających konflikt niemiecko-polski”. Obok: „Churchilizm. Interesujący artykuł Bernarda Shawa”. Patrę w stopkę. Franciszek Sowiński. Nie znam. Pewnie pseudonim: boi się chłopina, że mu nikt ręki nie poda, bo się Niemcom występuje.

Dosiada się gość w płaszczu do naszego stolika, z Rudzikiem podają sobie ręce jak starzy przyjaciele. Widać zaraz: oficer, same oficery.

Patrzą na mnie. Niski, brzuch jak piłka, ale twarz szczupła.

— Kalabiński jestem. Pułkownik.

I łapę wyciąga, łapę więc ściskam.

— Willemann jestem. Pijak — odpowiadam.

Śmieją się obaj, Kalabiński i Rudzik.

— Podporucznik taki figlarz jest — mówi Rudzik, aby pierdolony pułkownik ani chwili nie miał wątpliwości, że gada z oficerem, chociaż od razu widać, że młodszym i rezerwy, ale jednak, co oficer to oficer.

— Pan pułkownik też ze Śląska — dodaje jeszcze.

— Z Sosnowca — poprawia Kalabiński. — Pan Ślązak?

— Nie — zaprzeczam. — Warszawiak. Tyle, że na Śląsku rodzony.

Nie draży dalej, szczęśliwie nie draży.

— Strasznieśmy się na Śląsku bili — mówi za to, niby nie do mnie, tylko w przestrzeń. — I potem cały czas. Pan się biłeś?

Patrę na niego, tak, żeby widział moją niechęć.

— Tylko w knajpach z alfonsami, jak mi kurwa darmo dać nie chciała — odpowiadam.

— Och, pan Willemann bił się w dziewiątym ułanów! — spieszy z wyjaśnieniem Rudzik, śmiejąc się niepewnie.

I nalewa Kalabińskiemu kieliszek. Ten wychyla.

— Śmieszna rzecz mi się przypomniała — mówi, jakby od razu wódką podochocony, ale głos nagle ścisza. — Byliśmy w takim miasteczku, Stopnicy, same Żydki zresztą, i jedzie sobie autobus, w nim pełno Niemców, to zaczęliśmy do nich walić, a potem się okazało, że to muzykanty. Wojskowe, w mundurach. Ale autobus jak rzeszoto, muzykanty też, trąby, panie, postrzelane i podziurawione. Głupia sprawa, karabinów nie mieli, tylko te trąby.

Rzygać mi się chce.

Dopijam wódkę, cześć, idę, nic tu po mnie.

Francja, Francja, nekromancja, rejestracja czy nierejestracja, sanacja, koalicja, mobilizacja, demokracja, deratyzacja, mózgów inseminacja. Precz.

Idę. Muszę sprawdzić, jak się mają Hela i Jurek, dopytać się, dopieścić, zatroszczyć, ale najpierw coś dla ducha. Więc do Szpitala Ujazdowskiego. Koniec. Wychodzę. Koniec.

Wychodzę od Loursa, musiałem wyjść, bobym się pochorował od klęski, mdlić mnie od tej klęski zaczęło, więc wychodzę, wyszedłem. Koniec.

Miasto moje nie moje, podziurawione, idę Krakowskim Przedmieściem, idzie sobie pluton Żydków z łopatami, trójkami sobie Żydki idą, brodaci, chałaciaści i w myckach idą, ze trzydziestu ich jest, do roboty jakiejś idą, eskortuje ich trzech Niemców, mundury jak wojskowe, ale nie Wehrmacht, pułkownik mnie nauczył: tylko Wehrmacht ma orły niemieckie na lewej piersi, inne formacje mundurowe nie miewają. A formacji mnogo. Ci nie mają, więc nie Wehrmacht. Ale cholera wie co innego. Polizei jakież. Albo SS. Lud się rozstępuje, odwraca się, Żydki w niemieckiej eskorcie idą sobie środkiem rozwalonej ulicy.

A ja dalej idę, idę Nowym Światem, na Nowym Świecie jeszcze tak niedawno takie same kolumny widziałem z łopatami, w garniturach i kapeluszach, ochotnicy do obrony Warszawy szli rowy kopać, a teraz tylko groby tam, gdzie kiedyś była jezdnia, chłopskie furmanki zamiast tramwajów, nie ma tramwajów, nie ma autobusów, są furmanki, jedzie taka, a w niej spokojnie siedzą, piętnastu warszawiaków w paltach i kapeluszach, teczki na kolanach, ile brakuje, że nóżka na nóżkę i gazetę zacznie taki czytać, albo lepiej „Wiadomości”, jakby taksówką na premierę nowego Szaniawskiego do Ateneum jechał. Na murach zamiast afiszy — karteczki.

„Do Józefa Mareckiego żona z dziećmi. Józeczku, dom rozbity, jesteśmy u Stasiów na Grochowie, czekamy”. „Gołębie wystawowe sprzedam, ul. Wierzbowa 14, pytać o Andrzeja”. Wierzbowa spalona, byłem jeszcze przed kapitulacją. Setki karteczek. Przed karteczkami ludzie, szukają, czytają. Pani zacznie tu, ja tam, jakby pani co zobaczyła o Marianie Kowalczyku, pani dobra powie, a pani kogo szuka, to ja też patrzeć będę? A ile lat? Niestety, och, nieszczęście.

Dalej — siedłem. Wiejską. Nie szukam nikogo, nikt mnie nie obchodzi, tylko Hela i Jureczek, a oni bezpieczni w naszym mieszkaniu. Płyty pozrywane, na chodniku błoto, trzewiki od razu powalane, na ulicy błoto i furmanki, w dwa tygodnie dwieście lat do tyłu. Z płyt barykady prowizorycznie już otwarte, rozsunięte, ale pawimentów nikt na powrót nie poukładał.

Znowu dwóch Niemców, żołnierze. Płaszcz, pasy, furazjerki. Ludzie gapili się na nich, jakby im matkę ci dwaj właśnie przed momentem zgwałcili, zabili i zjedli. Może i niektórym zabili. Może komu nawet zgwałcili, kto wie. Ale żeby zjedli, to nie sądzę. Ci zresztą pewnie nawet nie zabili, lotnik raczej zabił, samolot zabił, bomba zabiła. Żołnierzyki, młode takie, oczka trochę wystraszone, bez broni, no to po co chodzisz po mieście,